



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

ASNYK JAKO AUTOR DRAMATYCZNY

SZKIC

P. CHMIEŁOWSKIEGO.

(Dalszy ciąg.)

II.

Asnyk twórczość swą dramatyczną rozpoczął od komedyi. Najdawniejsze z nich były pisane w chwili świeżo rozbudzonego ruchu politycznego w Galicyi; w chwili, gdy rozprawy o demokracji i arystokracji, o przewrotach społecznych i nowych formach życia przewijały się po łamach dzienników, na zebraniach młodzieży, a nawet w salonach.

Jakkolwiek poeta nasz trzymał się wówczas zdala od polityki bieżącej, nie mógł przecież w tem, co pisał, uniknąć wpływu atmosfery otaczającej i musiał z lekka przynajmniej potrącić o zagadnienia, budzące w społeczeństwie mniejsze lub większe zajęcie.

Najpierwsza komedia Asnyka, napisana w 2 aktach prozą, to właśnie „Walka stronnictw” (1869, Kraków, str. 137). Pierwiastku politycznego jest tu, co prawda, bardzo niewiele; rzecz bowiem sztuki obraca się około wydania za mąż panny, o którą starają się baron i demokrat. W pobocznych tylko scenach przedstawione są zwichrzone poglądy takich krzykaczy demokratycznych jak Dantoński i Trąbkiewicz, oraz śmieszne pretensje arystokratyczne takich ludzi jak baronostwo Radelkowscy. Właściwe swe zapatrywania się wypowiada poeta przez usta

Lucyana: „My artyści, żyjąc w krainie czysto idealnej, nie mamy nawet pojęcia o przeciwstawieniu i walce zasad i stronnictw; znamy tylko jedną arystokrację, a tą jest arystokracja geniuszu i piękności” (str. 124). Sarkastycznie zaś charakteryzuje zanik wytwornych form życia, mówiąc: „Prawdziwej dystynkcyi trzeba dziś chyba szukać pomiędzy lokajami i to starej daty” (str. 78).

Panna Paulina, o którą toczy się walka, kochająca artystę Lucyana, wyznaje otwarcie, że nie ma w sobie nic a nic z prawdziwej heroiny, gdy bowiem bohaterka romansowa otrulaby się w razie sprzeciwienia się jej uczuciom, ona dobrodusnie oświadcza: „jak krzykną na mnie, to ja zaraz wykonam wszystko.” Sytuacyi prawdziwie komicznych brak w tej sztuce i rozmowy są dość pospolite, a charaktery wogóle blade. Kilka dowcipnych wyrażen stanowi tu główną okrasę.

„Gałązka heliotropu,” chociaż w osobnej książce wyszła dopiero w r. 1882 (Lwów, str. 70), napisana była w tym samym czasie co i „Walka stronnictw”; przynajmniej Estreicher notuje ją pod r. 1869.

Sztuka to znacznie wyższa od poprzedniej. Napisana pięknym wierszem, przedstawia naturalniejszy i swobodniejszy rozwój akcji, a w charakterystyce osób więcej ma dobitności.

Echa chwili odbijają się tu bardzo słabo w samym początku komedyi, kiedy pierwszy zaraz wiersz napomyka o odczytach Henryka Schmita we Lwowie, malujących wiek XVIII, a w słowach pana Beockiego, ograniczonego, lubiącego dobrze zjeść i wypić ziemianina, odzywa się niechęć do hasel postępowych:

Ta filozofia zawsze nieszczęście przynosi; Ot i teraz znów dawny porządek upada I pierwszy lepszy przybysz zgubne zdania głosi,

Liberalizm, socjalizm i anarchię szczepi, A więc pytam się panów: jakże ma być lepiej? Ot głupstwo! Szczęście tylko, że jeszcze my [starzy

W obronie czystych zasad stoimy na straży.

Tym przybyszem, szczepiącym „liberalizm, socjalizm i anarchię” ma być w mniemaniu pana Beockiego Henryk, poeta „zbyt sielankowy, naiwny i łzawy,” wielce nieśmiały apostoł szczerego i serdecznego uczucia.

Panu Beockiemu ten marzyciel wzdychający do jego pupilki, bogatej sieroty Amelii, wydaje się niebezpiecznym jakobinem, dlatego, że jest ubogi, a bywa w domach zamożnych, rządzących się zasadą, że dzisiaj „trzeba szukać uznania i poparcia w masach.” Nie mniej niechętnym okiem patrzy na Henryka pani Beocka, próżna i płytko umysłowo kobieta, mająca pretensję do dystynkcyi salonowej.

Ale poeta znajduje uznanie w sercu samej Amelii, która źle wprawdzie tłumaczy sobie jego nieśmiałość a gorszy się jego niezręcznością w rozmowie, lecz kocha go rzeczywiście.

Do wyjaśnienia wzajemnego stosunku obojga dopomaga mimowoli obłudny przyjaciel Henryka, kuzynek Amelii, Adolf „prawdziwy pustak bez serca i głowy, trzpiot wdzięczny i układny rycerz salonowy, próżniak i egoista, ufny w swe zalety,” bo przekonany, że każdą kobietę podbić potrafi.

Otóż gdy Henryk postanowił wyznać uczucia swe listownie, błagając Amelię, by wpięciem heliotropu we włosy dodała mu otuchy; Adolf drze list powierzony sobie, lecz namawia kuzynkę, nieświadomą podejścia, do uczynienia tego, czego Henryk pragnął. Sądził Adolf, że Amelia oburzona pewnością siebie, z jaką poeta, ujrzawszy heliotrop we włosach panny, miłość swą wyzna, odtrąci Henryka a jemu odda swą rękę.

O mało rachuba jego się nie sprawdziła. Amelię istotnie razi sposób, w jaki Henryk mówi o dowodzie jej miłości; lecz prawdziwe uczucie oraz godność w zachowaniu się poety doprowadzają domyslną pannę do przeniknięcia tajemnicy podstępny kuzynka. To też gdy wszyscy mniemają, że poeta skonfundowany odjedzie, zostawiając Adolfowi możliwość ułożenia się z opiekunami Amelii, ta przy wieczerzy sama ofiaruje rękę Henrykowi, drwiąc sobie z podstępnych knoń kuzyna. Pan Beocki, zapewniony przez Amelię, która podsłuchiwała układu z Adolfem, że i Henryk rachunków z opieki nie zażąda, zgadza się na małżeństwo.

Komiczny pierwiastek „Gałązki heliotropu“ tkwi tylko w figurach państwa Beockich wskutek ich ograniczenia, płytkości uczuć, pretensjonalności i chybionego wyrachowania, oraz w niepowodzeniu zarozumiałego a obłudnego Adolfa. Przeważną atoli część komedii wypełnia liryzm zarówno w monologach Amelii i Henryka, jak w ich decydującej rozmowie. Te piękności liryczne wynagradzają zapowolny trochę rozwój akcji, której węzeł zadzierzgnięty został wcale zrecznie.

Z nową komedią wystąpił Asnyk dopiero w lat 10 po dwu poprzednich. Ma ona tytuł: „Przyjaciele Hioba“ (1879, Warszawa). Składa się z 2 aktów, pisana jest prozą. Pierwiastku komicznego niema w niej wcale; jest to raczej dyalog satyryczny, aniżeli komedia.

Fałszywych przyjaciół malarza Gwidona Rencickiego poznajemy troje: Julię Estetyńską, Tomasza Wieloradzkiego, Oskara Platonowicza. Otoczą oni artystę czułością i uwielbieniem, byleby stał „na świeczniku sławy“ i niczego od nich nie potrzebował. Niepowodzenie ochładza ich zapalę: wtedy skłonni są do krytyki, zaczynają widzieć braki w utworach malarza i nie szczędzą mu rad; na pomoc nie spieszą, pocieszając się aforyzmem, że „dopiero w walce z przeciwnościami wyrabia się prawdziwie człowiek i artysta.“ Wieloradzki, gdy mu szczerzy przyjaciel Gwidon wystawia niebezpieczeństwa, na jakie narażonym być może talent, pasujący się z niedostatkiem, odpowiada z głębokim przekonaniem, czerpanem z krynicy zadowolonego z siebie samolubstwa: „Potrzeba jest matką wynalazków, doda mu ona energii i polotu. Przeciwności potrzebą, Gwido zasiądzie do pracy i da nam, zaręczam panu, prawdziwe arcydzieło, na które z utęsknieniem czekamy. Gdybym go wyprowadził z kłopotu, miałbym sobie potem do wyrzucenia, że pozbawiłem kraj—arcydzieła...“

Co gorsza, że amatorowie i protektorzy sztuki nie wahają się obdzierać biedaka z dzieł jego pędzla. Estetyńska za piękny obrazek przysłała Gwidonowi jedną z „najcenniejszych pamiątek rodzinnych...“ filizankę, z której Napoleon I-szy pił kawę w domu jej dziadka, po przeprowadzeniu przez Berezynę. I taż sama Estetyńska zaprasza do siebie Gwidona, by obejrzał jej portret, zrobiony przez Cabanela, dodając, że zapłaciła zań 25 tysięcy franków...

Nie dosyć i na tem. Ponieważ Leonia wyszła za Gwidona wbrew woli rodziców swoich, Estetyńska nie waha się doradzać jej, by w nędzy opuściła malarza i pogodziła się z rodzicami, którzy tego tylko czekają; Oskar zaś Platonowicz obiecuje wyrobić rozwód i gotów ofiarować jej swą rękę.

Gwido przyjmuje swoje położenie, z bólem przypatruje się poświęceniu Leonii, która lekcyce dawać zaczęła, by dom utrzymać, ale nie umiała ukryć pewnego rozgoryczenia na widok mniemanego próżniactwa męża, co chcąc oszczędzić jej przykrości zawodu, pracował w tajemnicy nad obrazem, znikając często z domu i nasuwając powód do przypuszczeń, że hula wraz z przyjaciółmi swoim, Hipolitem Cygankiem. Wymownie kreśli wobec żony skutki niedostatku i biedy: „Nędzą strasnym jest wrogiem domowego pożycia; wciśka się ona między dwa serca kochające, zakłóca ich ufność wzajemną, odbiera im spokój i powoli oddala je od siebie. Kropla po kropli wlewając w nie jad codziennych trosk i umartwień, zatruwa przykrą rzeczywistością najidealniejsze ich porywy; cichą szczęśliwością

przemienia w smutek, smutek — w gorycz i gniew—i pastwi się nad nimi tak długo, póki nie zwiędnie ten biedny kwiatek miłości.“ Nie chcąc, ażeby Leonia wraz z nim cierpiała, popiera zasłużane propozycje Oskara Platonowicza, chce, ażeby go opuściła, szukając lepszej doli.

Leonia w rozdrażnieniu, nie rozumiejąc pobudek Gwidona, odrzuca zuchwały projekt Platonowicza, lecz nie wie co począć dalej. Wtedy szyderca, sponiewierany Hipolit Cyganek, słowami serdecznymi i rozumnymi przekonywa ją, że żona powinna przedewszystkiem otoczyć swego męża „jasną i pogodną miłością,“ uśmiechem szczęścia i zadowolenia dodawać mu otuchy i ufności. „W trudnym położeniu, w jakim znaleźliście się oboje—powiada Hipolit—wzięłaś bez wahania się na swe barki ciężar dopomagania Gwidonowi. Spełniasz swoje zadanie z odwagą i godnością: jest to już bardzo wiele, ale jeszcze nie wystarczy;—trzeba bowiem w podobnie ciężkich przejściach podwoić zasoby niewieściej słodyczy i domyslności serca; trzeba, aby mąż wiedział, że poświęcenie żony nie jest jej uciążliwym i że nic nie traci ona na sile swoich uczuć dla niego. Tymczasem ty, pani, przybrałaś mimowoli surowszy i obojętniejszy pozor pod wpływem powszedniej troski. Zdradziłaś się może przed nim z podejrzeniem lub niecierpliwością, zamiast miękką dłonią pieszczoty ułagodzić jego strapienie. On wrażliwy z natury, zgnębiony niepowodzeniem, wyrzucający sobie, że cię na taką dolę naraził, mógł łatwo przypuścić, że go przestajesz kochać i cenić.

Leonia idzie za radą prawdziwego przyjaciela, odwraca Gwidona od rozpaczliwego postanowienia; a odniesienie zwycięstwa na konkursie malarzkim sprowadza dla obojga zapowiedź dni szczęśliwych. Rodzice Leonii godzą się z jej małżeństwem, a trójca „przyjaciół Hioba“ rozplywa się w oświadczeniach przyjaźni, czci i uwielbienia.

I znowu upłynęło lat 9, zanim się ukazały r. 1888 w Krakowie dwa nowe utwory komiczne Asnyka, oba prozą pisane: „Komedia konkursowa“ i „Bracia Lerche“. „Komedia konkursowa“ to jednoaktowa krotchwila, poświęcona wydrwieniu uprzedzeń, omyłek, intryg w konkursach literackich. Poznajemy tu takie wielkości powiatowe jak Hugonowski, poczytujący się za potentata w zakresie twórczym, takich krytyków, jak Tenowicz, tłumacz Anakreonta, i z tego powodu występujący w roli zdobywcy serc niewieści, który chcąc podtrzymać wiarę w swą nieomyślność w sprawach literatury, szuka zewnętrznych wskazówek, by poznać, jaką sztukę Hugonowski posłał na konkurs; takich reporterów zarozumiałych jak Gazetkiewicz, który chcąc otrąbić sławę laureata, wypytuje skwapliwie, co kto jada i czy często potrzebuje używać kompotu ze śliwek...

Osnowa tej krotchwili dość interesująca. Bolesław Bekasiński, młody szlachcic, któremu się podobała Stasia, córka Hugonowskiego, nie śmiał, mając do czynienia z potentatem twórczości, objawić swych uczuć, dopóki nie zasłużył na jaką-taką sławę literacką. Zachęcany przez jednego z krytyków (Dodeckiego), lubiących drwić ze swych kolegów, napisał sztukę, z której biła „woń świeżego siana i obory“ i posłał ją na konkurs. Wskutek złośliwych zabiegów Dodeckiego, jak nie mniej wskutek pomyłki Tenowicza, który sądził, że ma przed sobą utwór Hugonowskiego, Bekasiński został laureatem. Z początku sława ta, na którą liczył, zaszkodziła mu w oczach ojca panny, co poniósł sromotną porażkę; ale gdy niebawem w wieńcu owym okazały się raczej ciernie niż róże, gdy Hugonowski posłyszał, że inni współzawodnicy pękają ze złości, i że w jednym z dzienników niemilosierdzie „schlastano“ i sztukę uwieńczoną i jej autora, zgadza się oddać rękę Stasi Bekasińskiemu, postawionemu pod pręgierzem opinii publicznej, więc nie groźnemu spółzawodnikowi.

„Bracia Lerche,“ komedia w 3 aktach (Kraków, 1888, str. 111), przedstawia, w porównaniu z innymi, największy interes społeczny, gdyż maluje rozpaczliwe położenie szlachty polskiej w W. Ks. Poznańskim w chwili wzmożonego

parcia germanizatorskiego i ohydnych „rugów pruskich.“

Nakreśliwszy tło wysoce dramatyczne, nie chciał jednak poeta doprowadzić osnowy swej sztuki do bolesnego rozwiązania. Otto Lerche jest tu przedstawicielem bezwzględności i gburewatości niemieckiej, zaufanej w siłę i pieniądź, wzgardliwie traktującej żywoł polski, skazany, zdaniem zawziętych Prusaków, na całkowitą zagładę; lecz brat jego przyrodni, Stefan, urodzony z matki Polki, szlachetny z usposobienia, a potęgający tę szlachetność spólcuciem dla zgnębionych, występuje z ratunkiem dla tych, którzy Otto pragnie upokorzyć i zniszczyć.

Lerchowice są to sąsiedzi Stanisława Radwana, przyprowadzonego do ruiny skutkiem lekkomyślności i nieumiejętnej administracji. Tai Stanisław położenie swoje, ze względu na starego ojca, kapitana Tadeusza, żeby o śmierć go nie przyprowadził wiadomością o przymusowej sprzedaży gniazda pradziadowskiego. Nastręcza mu się sposobność wybrnięcia z tej sytuacji, gdy Stefan Lerche oświadczył chęć poślubienia jego córki, Ireny. Irenie Stefan się podobał; nieśmiała więc propozycja ojca nie była jej niemiłą; ale sposób nagły, w jaki Stefan, zmuszony przez gburowatego brata, nie chcącego tracić czasu na ceregiele, zamiar swój wyjawiał, nie postarawszy się wprzód upewnić o wzajemności panny, sprawia jej przykrość i wytwarza dziwny, naprężony stosunek między nią a narzeczonym.

To też gdy Kapitan, dowiedziawszy się z boku o układzie między synem a Lerchami, wybuch oburzeniem i dotkliwie robi wymówki wnuczce, iż zapomniawszy o obowiązkach narodowych, nie pomyślała o tem, że jej synowie mogą kiedyś stanąć w szeregu przesładowców jej narodości, Irena odrzuca Stefana, a przyjmuje ofiarowaną sobie rękę Juliusza Poraja.

Czyni to jednak bez miłości dla nowego narzeczzonego i nie może zapomnieć o swem uczuciu dla Stefana, któremu nie trudno było niebawem je odzyskać.

Zmuszonemu przez „rugi“ Juliuszowi do opuszczenia W. Księstwa przychodzi Stefan z pomocą, nabywając od niego młyn za cenę bardzo wysoką; a tym szlachetnym postępkem, jak również przyznaniem się głośnym do narodości polskiej ujmuje sobie Kapitana a podbija całkowicie serce Ireny.

Juliuszowi nie dzieje się przez to krzywda, ponieważ posiadał on serduszek podlotka Dziunia, nieświadomej zrazu swego uczucia, lecz tem silniej następnie niem przejętej, kiedy ujrzała Juliusza narzeczonym Ireny. Groźne więc zawikłania kończą się pomyślnie w skutek potęgi uczucia Stefana Lerche i jego szlachetnego poświęcenia się dla sprawy ucisnionych i przesładowanych.

W komedii tej wszystkie prawie osobistości mają charakterystykę wybitną i w rozwinięciu konsekwentną: i Radwanowie, zwłaszcza Kapitan, i Lerchowice, i kobiety, mianowicie Dziunia, utrzymują się w swym charakterze wybornie. Kompozycja w pierwszych dwu aktach trzyma się spójnie i w niczem niemal przeciwko prawdopodobieństwu nie grzeszy; dopiero w akcie 3-im się psuje przez naciągane nagromadzenie osób w ogrodzie przytykającym do dworka Radwanów. Szczególniej pojawienie się tutaj Ottona Lerche, którego poprzednio Kapitan wyprosił ze swego domu, umotywowanem zgoła nie jest. Sprawa też nabycia młyna przez Stefana traci nienaturalnością. Akt III-ci, bardzo ładny sam w sobie, narusza jednolitość budowy komedii, tworząc rodzaj przystawki tylko do niej.

(Dalszy ciąg nastąpi).

W kwestyi równouprawnienia kobiet

wobec nauki, pracy i dostojności ludzkiej.

(List otwarty do kobiet niemieckich).

ELIZY ORZESZKOWEJ.

(Dokończenie).

Teraz, kilka słów o sposobach dążenia do celu. Naturalnie, robotę zaczynać trzeba od początku, to jest, od samokształcenia się moralnego kobiet które uczynić je ma zdolnymi do skutecznego służeńia umoralnieniu świata. Dziś, kiedy kobiety wywalczyły już sobie w pewnym stopniu prawa do umysłowego światła i samodzielnej pracy, moralność, ich daleko łatwiej i pewniej stać się może nie szybko już, przez obce ręce wprawioną w duszę, ale samą ich duszą. Bo nauka i praca zarobkowa, jakkolwiek same przez się nie wytwarzają moralności, jednak są do należytego jej pojęcia i urzeczywistnienia niezmiernie pomocnymi.

Nauka jest pochodnią, która obfitem światłem napełnia pałac cnoty, rozświetlając jego zakątki i zarazem jest ona nicią Aryadny, która ukazuje rozległość i głębie tego pałacu, chroniąc od zabłąkania się pośród licznych jego komnat.

Pracę znowu porównać można do kija pielgrzymiego, który na drogach życia wstrzymuje od upadku, ślizgające się po jej nierównościach nogi i jeszcze do elixiru czarodziejskiego, który w'ewa w żyły i serce, krew coraz nową. Stało się więc bardzo dobrze i szczęśliwie, że kobiety walczyć poczęły o tę pochodnię i o tę nie przewodnią, o ten kij pielgrzymi i o ten elixir krzepiący, że je w pewnej mierze już wywalczyły; a teraz o to iść powinno, aby z nich uczyniły użytek dla celu, który w zapale i trudnościach walki, upuściły z oczu.

Zdaniem mojem, dążenie do tego celu powinno być zorganizowanem w ten sam sposób, w jaki czynionem to było i jest dotąd w stosunku do nauki i pracy. Kobiety powinny działać spójnie na tej drodze, tak jak działają na tych, które wiedzą do oświaty umysłowej i pracy zarobkowej. Niepodobna wyliczyć korzyści, które sprawie każdej przynoszą stowarzyszenia i nie trzeba ich wyliczać, bo są powszechnie wiadomemi. Niepodobna przecież nie nadmienić przynajmniej, że w tej tylko formie, działań społecznych, spoczywają dwa najważniejsze pierwiastki społecznienia: współpomoc i karność. Pierwsza uczy jednostki wiązania się pomiędzy sobą węzłami współczucia i wspólności interesów, druga przyzwyczajają je do składania chwnejności i kaprysów uczuć i woli na ołtarzu dobra powszechnego. Dla tego też stowarzyszenia, bez względu nawet na specjalny cel swój, są najwyborniejszymi środkami: umoralnienia; są też formą ludzkiego bytu i działania najdalej sięgającą w przyszłość świata i w której najwyraźniej świecą brzaski lepszej przyszłości.

Stowarzyszeń zawiązanych przez kobiety w celach nauki i pracy, we wszystkich krajach ucywilizowanych, różnych rozmiarów i różnej natury istnieje wiele. Poważam się stanąć przed kołem znakomitych przewodniczek ruchu kobiecego w Europie i uczynić przed niemi wniosek utworzenia jednego jeszcze, o ile podobna miało na celu wzrost kobiety—moralny. Proponuję siostrze moim w dążeniu i wierze społecznej:

Związek cnoty.
(Tugendbund).

Kodeks tego związku, jego cele najbliższe i najdalej, środki materyalne i moralne, które mi dążenia swe ma popierać i urzeczywistniać, potrzebują naturalnie głębokiego zastanowienia się, narad i trudnych starań. Tu, pozwolę sobie tylko nakreślić parę zasadniczych jego linii.

Związek cnoty, obowiązując powinien członków swoich:

1) Do najpilniejszego o ile podobna poznawania siebie, czyli swoich zdolności umysłowych i zalet, zarówno jak przywar moralnych.

2) Do niszczenia w sobie ambicji, któreby na mocy rozpoznawania swoich sił umysłowych i moralnych, okazały się wygórowanemi, zatem do sięgania po tę tylko naukę, po ten zawód, do chętnego poprzestawania na tych tylko zaszczytach i korzyściach, które posiadany siłom umysłu i charakteru są odpowiednie.

3) Do pracy systematycznej nad niszczeniem stwierdzonych w sobie przywar charakteru, a ćwiczeniem i wydoskonaleniem zalet.

4) Do ćwiczenia woli i wprawiania się w solidarności pomiędzy ludzką przez systematyczne składanie w ofierze dobru powszechnemu, częstki używanych wygód i przyjemności, bądź w postaci zaoszczędzonego tym sposobem i na cele ogólne, ale koniecznie—w ręce i pod kontrolę stowarzyszenia, składanego grosza, bądź w postaci jakiejś własnoręcznie spełnionej pracy lub obojętne dokonanie zadania.

5) Do ćwiczenia współczucia, przez systematyczne i bliskie przypatrywanie się tym, którzy są dla jakiegokolwiek względów, upośledzonymi, krzywdzonymi i cierpiącymi, przez umysłowe badanie ich losów, dziejów, przyczyn ich upośledzenia, krzywdy i cierpienia; przez czynne przynoszenie im pomocy i ulgi.

6) Do ćwiczenia uczucia sprawiedliwości przez zakładanie godności i dumy człowieczej i narodowej, nie na posiadanej potędze stanowiska, władzy i siły fizycznej, ale na cnotcie, rozumie i czynach sprzyjających szczęściu ludzi.

7) Do przygotowywania lepszej ery świata, przez rozsiewanie we wszystkich dziedzinach życia, w domu, w szkole, w towarzystwach, w piśmiennictwach, pojęcia i pragnienia zgody i pokoju, pomiędzy ludźmi; przez stawienie oporu słowem i czynem wszystkiemu co jest fizycznym, albo moralnym morderstwem, przemocą wywieraną przez jednostkę pojedynczą lub zbiorową nad jednostką drugą, przeciw wszystkiemu, co jest wynoszeniem siebie, a poniewieraniem innymi, strojeniem się w purpurę, a obnażaniem innych, szerokim rozsiadaniem się przy biesiadnym stole, a spychaniem innych na niziny.

Może kto powie, że wzywam lud kobiecy do oporu przeciw zdzieraniu purpur z bark bliźniego i szerokim rozsiadaniem się przy biesiadnych stołach dla tego, że jestem córką narodu odarte-go z purpury i zepchniętego na niziny.

Tak, i to właśnie, że jestem nie tylko córką, ale służebnicą takiego właśnie ludu, napełnia mię dumą. Dumną czyni mię to, że wraz ze społeczeństwem swoim na nizinie stojąc—w słońce patrzę i wraz ze społeczeństwem swoim z purpury odarta—w sercu nie mam nienawiści, lecz przeciwnie pragnienie powszechnego dobra. Dumną mię czyni służba wielkiemu nieszczęściu, która dostojnością przewyższa trony. A śmiałości do wypowiedzania wam z niziny swoich myśli i uczuć dodaje mi to—że słowa najwyższej i najdoskonalszej nauki padły na świat—z krzyża. Bo w samej głębi rzeczy, krzyże mają tę dostojność i przez to przyszlęmu szczęściu świata są pomocnymi, że z nich więcej i dalej spozstrzegać można, niżeli z łóż usłanych różami.

* * *

Pozostaje mi jeszcze wytłómaczyć się w kilku słowach, dla czego do was specjalnie, szanowne panie, zwróciłam się z wyrażeniem powyższych uczuć i myśli? Dla czego mniemam, że jeśli znajduje się w nich choćby okruszka prawdy i jeżeli brzmi w nich choćby najslabszy dźwięk wielkiego hasła, kobieta niemiecka właśnie prawdę tę i to hasło w czyn zamienić może?

Jesteście córkami narodu potężnego, wszelka więc robota przez Was rozpoczęta, znajdzie ułatwienia w politycznych swobodach waszego kraju, a przez jego potęgę zwróci uwagę i obudzi ufność szerokiego świata.

Jesteście także córkami cywilizacji wielkiej, która świat obdarzyła niejedną dobroczynną reformą duchowego bytu, mnóstwem geniuszów nauki i sztuki. Więc w krwi i w duchu musicie mieć coś z odwagi wielkich reformatorów, z głębokości myślicieli, z rozkochania w ideałach poetów słowa i tonów waszego kraju. Tam gdzie walczyli Luter i Melancton, gdzie myśleli i badali Kant, Hegel i Herder, gdzie grali Bach i Beethoven, gdzie śpiewali Goethe i Schiller, tam pomimo przeciwnych zjawisk, owocami chwili będących, duchy muszą być jak ta skała Mojżeszowa, której dosyć dotknięcia różeczki proroczej, aby trysnęła źródłem czystym i obfitym.

Jesteście jeszcze niezbyt oddalonymi od chwili, w której ojczyzna Wasza, wśród ciężkich doświadczeń losu, wśród ran i krzywd zadawanych jej przez przemoc, wydała z siebie słynny i wspaniały Związek cnoty [Tugendbund]. Historycy wieku naszego utrzymują, że temu to związkowi Niemcy zawdzięczają ocalenie swoje i dzisiejszą swoją potęgę. Co pewna to, że ten związek przynosi ich dziejom większy zaszczyt i prawdziwszą chwałę, niż późniejsze, świetne tryumfy wojenne. Co pewna także, to, że mając tak bliską tradycję ojczystą, kobiety niemieckie potrzebują tylko chcieć, aby mózgi odtworzyć ją na korzyść nie tylko już własnego kraju ale i świata.

W dziejach przeszłości Waszej istnieje legenda bardzo piękna, pozwólcie, że ją Wam przypomnę. Kiedy legiony rzymskie Oktawiana-Augusta szły na podbój Germanii i wiele już świetnych, a krwawych zwycięstw nad nią odniosły, wodzowi ich ukazała się pewnej nocy postać olbrzymia i zarazem piękna, która potężne ramię przeciw niemu wyciągając, wyrzekła: „Nie pójdziesz dalej!“ Był to duch Germanii tak wspaniały i potężny, tak w sile i oburzeniu swoim piękny i nakazujący, że nieustraszony wódz rzymski zadrżał, nieustraszonym hufcom Augustowym odwrót nakazał i—nie poszedł dalej!

Może ta legenda raz jeszcze powtórzy się w dziejach świata. Może przeciw najazdowi brutalnych sił podboju, pychy, krzywdy, zmysłowości, zepsucia, znowu powstanie duch Germanii ze zwyciężkim rozkazem: „Nie pójdziecie dalej!“

K O N I E C .

SKARGA

Wysycha w piersi natchnienia zdroj
I sił ubywa, nim nadszedł bój...

Z poza spieczonych gorączką warg
Nic się wydobyć nie chce prócz skarg.
A więc się skarzę, jak małe dziecko,
Że mi jest dziwnie źle na tym świecie

A więc się skarzę na pączki róż,
Na blask złocisty wschodzących zórz,
Na gwar poważny szumiących drzew,
Na plusk fal srebrnych, słowicy śpiew.
Bom wierzył kiedyś, jak małe dziecko,
Że to jest treścią życia na świecie...

A więc się skarzę na złudzeń rój,
Które za prawdę brał umysł mój.
Na roztrwonione zapalu skry,
Na niespełnione tęczowe sny...
A więc się skarzę, jak małe dziecko,
Że tak jest dużo złudzeń na świecie.

A więc się skarzę na zimny świat,
Że szronem pokrył mych marzeń kwiat.
Że zeń obrywał po liściu liść.

Tak trzeźwo każąc przez życie iść...
A więc się skarżę, jak małe dziecko,
Bo mi bez marzeń źle jest na świecie.

A więc się skarżę na siebie sam,
Że do skarg tyle powodów mam,
Że duszę zwątpień ogarnął rój,
I że schnie w piersi natchnienia zdrój,
A więc się skarżę, jak małe dziecko,
Że mi jest dziwnie źle na tym świecie...
Selim.

NA ŁASCE

POWIEŚĆ

przez

M. N. Sas-Junoszę.

(Dalszy ciąg),

VII.

W parę dni po nagłym zaślabnięciu Janiny, wszystko w Żarnkach wróciło do dawnego porządku.

Hrabina uspokojona o wychowaną, polecivszy ją pieczy panny Olimpii wyjeżdżała z wizytami, przyjmowała gości i snuła jak zwykle pasmo beczynnego żywota. Kamillę mniej można było widzieć, bo długie chwile w dniu przepędzała na górze, przy chorej; jej nie uspakajała obecność panny Olimpii, w młodem nie zepsutem sercu ozwała się czulsza nuta, i Kamilla poddająca się jej jak każdemu innemu wrażeń uległa jej bezwiednie prawie. Hrabinę to irytowało.

— Kamilka ma dziwne fantazyje! — zawołała raz, gdy córka spóźniła się na obiad, zasiedziawszy się u Janiny. — Będąc dzieckiem, przywiązała się raz tak silnie do dużej lalki, że gdy ją przypadkiem stłukła, o mało nie rozchorowała się z żalu. Później przyszła kolej na psa, potem na konia... a teraz na tę Janinę... *ou ces fantaisies vont nous mener un jour?*

Roman uśmiechnął się z lekka.

— Jabym to inaczej nazwał, moja ciociu, — rzekł, — nie fantazyja... jest to chyba potrzeba serca kochać coś lub kogoś, *à tout prix* świadczy to nader pochlebnie o charakterze Kamilli.

Pani Żarnowiecka zdziwiona nieco spojrziała na siostrzeńca; nigdy jeszcze tak otwarcie nie brał strony Kamilli.

— *Ah! si vous vous mettez à deux...* — szepnęła niby gniewnie, a jednak bardzo zadowolona.

— Jakże mama może stawiać Janinę na równi z lalką, psem i koniem! — zawołała Kamilla, zachęcona obroną Romana. — Tamto wszystko może były fantazyje, ale moje przywiązanie do Janinki jest stałe, i prawdziwe!

— No, — pół głosem wyrzekła hrabina. — Twoje przywiązania... stałe...

Kamilla dosłyszała słowa matki, i zrozumiała uśmiech dwuznaczny, ironiczny nieco, i oblała się szkarłatnym rumieńcem... ale nie odrzekła już nic, spuszczając oczy jak winowa.ca.

Po obiedzie przybyli goście, pani Adela z bratem, wracająca wprost z zagranicy, gdzie pół roku przeszło bawiła, i gdzie jak złośliwi utrzymywali, starała się wyswatać brata, co jej się nie udało.

Pan Juliusz nie wprawdzie nie zyskał z podróży, był takim jak zawsze — jak go Pan Bóg stworzył — ale też i nie stracił widocznie sentymentów, które kochającą jego siostrę o rozpacz przyprawiały, bo zaokrąglonem okiem oglądał się w około z nietajonem zniecierpliwieniem. Tak dawno już Janiny nie widział!

Pani Adela, ożywiona, ustrojona w suknię parryżką, ani myślała pytać o Janinę; kto wie? może nawet to ożywienie wypływało z tej przyczyny, że nie widziała w salonie istoty, która jej w najwyższy sposób na nerwy działała. Ale w miarę ożywienia siostry, twarz Juliusza przeciągała się dziwnie, co czyniło, że stawał się podobnym do kapryszącego dziecka.

Nagle, hrabina lubiąca narzekać na swoją, — jak każdą nieprzyjemność nazywała — niedolę, oznajmiła pani Adeli o chorobie Janiny, żaląc się na kłopot z tego powodu i niewygodę.

Skargi te nie znalazły echa w sercu słuchającej, ale za to pan Juliusz został jak gromem rążony.

— Panna Janina... chora!... — bełkotał, a oczy mu na wierzch wylazły z przerażenia, i twarz pobladła.

Spostrzegła to niezwykle wzruszenie pani Adela, i nachylając się zniecierpliwiona do brata:

— *Jules! pas de bêtes!*... — szepnęła.

Ale on już jej słów nie słyszał. Mocno poruszony zapomniał o siostrze, i o wszystkim w świecie.

— Chora... chora... — jęczał, i z tym jękiem wybiegł na werandę.

Roman wiedziony współczuciem poszedł za nim, i ujrzał coś, co go pomimo woli wzruszyło, i napełniało litością nad biedakiem.

Juliusz stał oparty o balustradę i... płakał! Płakał jak dziecko, szlochając głośno prawie, spałmatycznie, a łzy sypały się jak groch po twarzy.

Roman ujął go za rękę i jak dziecko poprowadził do swego pokoju, starając się tę boleść ukoić i przedewszystkiem uważając, by ich kto nie widział... i nie naśmiał się z tego starego dzieciaka, który bądź co bądź cierpiał tak jak i on sam, choć tę boleść na swój sposób manifestował.

Poważnemi słowy zdołał Roman ukoić żal Juliusza i łzy nie meżkie, ale w zamian otrzymał całe zaufanie biedaka... Spowiadał mu się w zagmatwany a polityczny sposób ze swego dla Janiny uczucia, tak głębokiego na jakie zdobyć się mogło to biedne pełne naiwności serce.

— Ja ją tak kocham! — wołał, — nigdy Adeli tak nie kochałem, choć ona dla mnie taka dobra! Wie pan! ona byłaby szczęśliwa, żeby była moją żoną... niczego bym jej nie odmówił... dałbym jej czegoś tylko chciała... ale cóż! Adela nie chce pozwolić... Słowo honoru daję, że byłaby szczęśliwą!

— Nie wątpię... — uspakajał Roman. — Tylko czy ona by chciała...

— Dlaczego by chcieć nie miała? — oburzył się. — Kocham ją, aj! mówię panu, że okropnie ją kocham! jak ją zobaczę to mi serce tak stuka, że aż boli... a jak co powie to głupiej... słowo daję! Czemu by nie chciała? alboż jej tu dobrze, nawet tańczyć jej nie pozwalają. Jakbym się z nią ożenił, to dam bal, i mówię panu, sam z nią cały wieczór tańczyć będę!... O, bo może pan nie wie, ale ja naprawdę dobry jestem... jak kogo kocham, to kocham!

Roman widząc, że biedak się uspokoił, sprowadził go znowu do salonu, ale Juliusz siedział milczący ponuro, ciągle jedną myślą zajęty, a pani Adela widocznie się irytowała, i nie długo zabawiwszy, zabierała się do odjazdu.

Juliusz, żegnając hrabinę, pochylił się nad nią: — Czy ona długo będzie chora? — szepnęła w zaufaniu.

Śmiech głośny był mu odpowiedzią. — Jakże pan chcesz żebym wiedziała! — zawołała hrabina.

— No, to... pani pozwoli, że ja się dowiem...

— Ale i owszem... i owszem!

— Jules! — zabrzmiał krótki rozkaz, i Juliusz posłusznie poszedł za siostrą do powozu, gdzie go porządna admonicza czekała...

— Boże, cóż to za bałwan! — zawołała pani Żarnowiecka otwarcie, po wyjeździe swoich gości.

— Biedaczysko, — mówił Roman. — Żal mi go było naprawdę dzisiaj, choć w tak zabawny sposób swoją boleść objawia.

— I biedna Adela się ludzi jeszcze... — zauważyła hrabina.

— Kto wie czy by lepiej nie było, gdyby go wypuściła z pod swojej opieki, gdyby się uczył więcej samodzielnym, i odpowiedzialnym za swoje czyny, może by nabrał trochę rozumu.

— I ożenił się z Janiną! — przerwała hrabina. — Ręczę ci Romku, że by się na tem skończyło!

Kamilla porwała się niecierpliwie.

— Ależ mamo! za co masz Janinę, żeby o niej tak mówił! Czyżby mogła zostać żoną człowieka, którego ani kochać ani szanować nawet by nie mogła!

— Zapominasz moje dziecko, że Janina jest biedną... Taki pan Juliusz jaki on jest, jeszcze stanowi dla niej świetną partyę. Ale nie ma o czem mówić! pani Adela dobrze czuwa...

— Tem lepiej! — krótko odrzekła córka i obracając się do Romana: — Chcesz przejść się ze mną po ogrodzie, kuzynku? — spytała.

Roman był gotów uczynić co chciała, i za chwilę znaleźli się w ogrodzie, gdzie wczesna wiosna drzewa rozwijać poczyniała.

— Jak się dzisiaj czuje panna Janina? — zapytał Roman, poruszając odrazu przedmiot, który go najbardziej obchodził.

— Zawsze jednakowo... — odrzekła Kamilla. — Leży cicha, bezwładna, skarży się tylko, że kłopotu przyczynia... Dziwna to jakaś choroba.

— Muszę doktora zapytać... — rzekł Roman zafrasowany.

— Ta panna Olimpia to nadzwyczajnie godna osoba, a Janinę prawdziwie kocha, chociaż mnie to nie dziwi, bo jeżeli jej siostrzeniec...

— Więc trwasz jeszcze w tem przekonaniu?

— Zawsze. Wiesz, Romanie, zdaje mi się, że odkryła powód zmartwienia Janiny, a może i choroby... Ona i pan Kręcki nie mają nic... a co gorsza, że on żadnej przyszłości nie ma. Opowiadała nam wczoraj panna Olimpia dzieje swojej rodziny... Och, mój Romku! jakie to okropne, co się nieraz dzieje!... Mieli majątek, znaczenie, i nagle, z łaski nieuczciwych ludzi, którzy opiekowali się niby tym majątkiem, stali się nędzarzami prawie... Wtedy panna Olimpia została nauczycielką, pani Kręcka, jej bratowa umarła z rozpacz, a syn poszedł do ludzi obcych za nauczyciela domowego... Tułał się tak przez lat kilka, ale podobno, jak mówi panna Olimpia, siostrzeniec jej nie należy do pokornych, pomiatać sobą nie daje... i doszedł do przekonania, że zawód nauczyciela domowego, nigdy mu dogodzić nie potrafi. Parę tygodni temu przyjechał tu, do ciotki, naradzić się z nią co czynić dalej wypada, i uradzili oboje, żeby szedł tą drogą co ona...

— A panna Janina... czy bardzo się zajmuje losem młodego Kręckiego? — zapytał Roman bardzo przygnębiony, ale udając obojętność.

— Naturalnie. Mówię, ci Romku, że on ją obchodzi... bardzo.

— To mi jej żal... — wtrącił Roman, bardzo smutnie.

Opuścił głowę na piersi i milczał ponuro. W sercu jego tworzyła się jakaś próżnia niezgłębiona, i zimno przejmowało go całego, choć czas był pogodny i ciepły, pomimo wieczornej pory.

— Nie zimno ci kuzynku? — zapytał tonem, który przypominał ów dawny, nieokreślony, miarowy i nieprzyjemny.

Kamilla nie zauważyła tej zmiany.

— Zimno? — wyrzekła, — ależ ciepło jest kompletnie!

— To może usiądziemy tutaj...

Poprowadził ją do ławki pod jesionem na dziedzińcu. Pragnął pozbyć się kuzynki i oddać się swoim ponurym myślom, które wisały mu nad głową jak złowrogie ptaki.

— Czemu jesteś taki zamyślony kuzynku Romanie? — spytała Kamilla. — Czy masz jakie zmartwienie? Od tygodnia jak przyjechałeś, uważam, że nie jesteś takim jak zawsze.

— Stajesz się niebezpieczną, kuzynku! — odrzekł próbując żartować. — Widzę, że na seryo do spostrzeżeń się bierzesz... Co do mnie, podobno się mylisz, gdyż jestem tak jak zawsze...

— Nie wypieraj się! ale bądź spokojny... tak zimnego człowieka o serdeczne zmartwienia nie

posadzę tak jak Janinę. Musisz mieć jakąś inną nieprzyjemność.

Roman zaśmiał się z przymusem.

— Takiego dziwaka pewnie nie spotkałaś w żadnym z francuzkich romansów, i dlatego trudno ci odgadnąć co mnie gryzie... Tak, mam, *une corvée*, jak mówią Francuzi; zapowiedział się do mnie do Wasilec hrabia Alfred ze Stasiem Walickim na polowanie, i to mnie nudzi!

— Tak?—zawołała. — A to mnie przeciwnie bardzo cieszy! Jeżeli zostanę, aż do przyjazdu Natalii, będziemy mogli doskonale się bawić. Mam nadzieję, że Janinka do tej pory będzie już zdrowa... zabawimy się wybornie!

Roman spojrział na kuzynkę uważnie.

— Sądzę, że Staś także ma podobne plany,— rzekł,— a może i inne... co mówisz na to Kamillo?

Ona zarumieniała się nieco, i filuternie przechyliła głowę.

— Ja nic nie mówię...— rzekła, śmiejąc się,— może pan Stanisław mieć plany jakie mu się podoba, ale ja?... ja tylko zabawić się chcę!

Wstała i pochyliła się nad grządkami, na których gdzieś niegdyś zielone kępki widniały.

— Mój Boże! jakżebym chciała, żeby już kwiaty kwitnąć zaczęły,— zawołała,— jakby to Janinkę ucieszyło, gdybym jej bukiet zaniosła!

— Jeżeli ci to przyjemność robi,— odezwał się miarowym tonem, prawie z wahaniem Roman,— to mogę ci kwiatów dostarczyć... u nas w Wasilcach oranżerya dobrze zaopatrzona...

— O jakiś ty dobry!—przerwała Kamilla porywając go za rękę i ściskając ją.—Bardzo, bardzo będę ci wdzięczna!

W tej chwili pojawił się Władysław Kręcki, dążąc do pałacu, ale ujrawszy Romana zatrzymał się. Od chwili poznania spotkali się dopiero po raz pierwszy.

Roman nachmurzył się mimowolnie. Widok tego człowieka, którego według wszelkiego prawdopodobieństwa ona kochała, przyleciał na nim uczynił wrażenie... ale wnet opanował się, i wstając, postąpił ku niemu z wyciągniętą ręką.

— Witam pana!—wyrzekł, starając się utrzymać głos w karchach życzliwości.

Władysław przyjął podaną dłoń i stał, patrząc na Kamillę, która zbliżywszy się szepnęła coś Romanowi.

Ten zrozumiał, i odezwał się:

— Moja kuzynka pragnie poznać pana... Kamillo—pan Kręcki.

Władysław skłonił się w milczeniu.

— Zapewne pan pragnie dowiedzieć się o zdrowiu Janiny?—zapytała Kamilla, uważnie przypatrując się młodzieńcowi. — Wiem, że się państwo znają... Janica wspominała mi nieraz...

— Panna Janina zbyt łaskawa...— odrzekł Kręcki, w którego oczach pojawił się błysk chwilowy.—Czy ciągle chora?

— Niestety! Ku wielkiemu zmartwieniu nas wszystkich, nie wyłączając ciotki pana, która dla niej jest dobrą jak matka. Pan także musi się czuć pokrzywdzonym...

— Dla czego, pani?

Kamilla z przyjemnością prowadziła rozmowę, z której pewniejsze wnioski niż ze swoich domysłów snuć mogła.

— Panu źle musi być bez ciotki, a przytem tyle zajęcia...

— O pani! gdyby nie podobne okoliczności, zajęcia te były by dla mnie wcale nie uciążliwe.

— Zapewne, że okoliczności są bardzo przykre...

Roman obawiał się ciekawości swojej kuzynki i niebacznym pytań, i postanowił przerwać rozmowę.

— Panie Władysławie,— rzekł,— proszę do mego pokoju na cygaro lub papierosa, moja kuzynka tymczasem uwiadomi ciotkę pana.

— Dobrze!—zawołała podbiegając naprzód Kamilla.—Pówiem przytem Janinie o kwiatkach, które obiecałaś...

— Proszę cię Kamillo, ani słowa!—z niechęcią odrzekł Roman.

— Dla czego? czy może zmieniłaś zamiar?

— Nie. Jutro pojedę sam do Wasilec... jak wrócę, mozesz, jeżeli się panna Janina zapyta, powiedzieć żem na twoje żądanie przywiózł te kwiaty...

— Niedobry! nie chcesz jej się niczem przyśłużyć...

Drganie nerwowe przebiegło po twarzy Romana jak błyskawica.

— Panie Władysławie,— rzekł nie odpowiadając kuzynce,— jutro niedziela, jesteś pan wolny od zajęć—nie chciałbyś pan pojechać ze mną do mego majątku? niedaleko ztąd.

— Bardzo obowiązany jestem,— odparł zdziwiony nieco tą propozycją Władysław,—lecz nie wiem czy mogę korzystać...

— Ja pana proszę...—wyrzekł Roman ujmując go za rękę.

— A ja panom zazdroszczę tej podróży!—dodała Kamilla wesoło.—Wasilce mają być śliczne, a nie znam ich...

— Mam nadzieję, że poznasz je w tym roku, jak ojciec mój wróci.

— Zapraszasz nas? bardzo się cieszę... a teraz żegnam panów, spieszę do panny Olimpii.

Na trzeci dzień rano, Kamilla weszła do pokoju Janiny, niosąc z tryumfem pyszny bukiet cudownych oranżeryjnych kwiatów z wielkim gustem ułożony.

Leżąca w łóżku Janina, wymizerniała, osłabiona, wielkimi oczami rozpalonemi gorączką, patrzyła na nią, i miała już na ustach pytanie, do którego Kamilla jej nie dopuściła.

— Patrz! to dla ciebie! ale przypatrz się dobrze, podziwiaj!—wołała,—cudowne kwiaty! i to dla ciebie Janinko, żebyś się trochę zabawiła, rozerwała...

— Dla mnie?—szepnęła z cicha, wyciągając rękę, i uśmiechając się do kwiatów.—Zkąd ty to wzięłaś?

Kamilla włożyła jej w ręce bukiet.

— Roman jeździł umyślnie do Wasilec gdzie ma sławne oranżerye...—wyznała, zapominając o prośbie kuzynki.—prawda jaki zapach?

Janina ukryła twarz w bukietcie ale nie na to aby się wonia kwiatów napawać... Odjęła go po chwili, i głowa jej opadła na poduszki, a oczy przykneły się zmęczone, zabłysło coś nagle przed niemi i zgasło, jak *fata morgana*... Jeździł umyślnie... nie! pomimo, że dobry bardzo dla niej, nie była tak zarozumiała, aby w to uwierzyć.

Kamilla tymczasem usiadła przy niej i rozprawiać zaczęła o podróży Romana, który Władysław brał z sobą.

Janina milczała znużona, trzymając bukiet na piersiach.

— Chcesz, by go do wody włożyć?—spytała nagle Kamilla.—Będzie dłużej świeży.

— Proszę cię...—słabym głosem odrzekła, podając jej bukiet pomału, jakby z żalem.—Postaw go tu, koło mnie... a jakże mi miło!

— Wiedziałam, że lubisz kwiaty!—zawołała Kamilla, zawoławszy służącą, której rozkazała wstawić bukiet do wody.

Wtem weszła panna Olimpia, zesła była przed chwilą dla widzenia się z Władysławem, który wracając z Wasilec nocą, zatrzymał się w pałacu przed powrotem do szkoły.

— Czy pani pragnie, panno Kamillo zostawić tutaj te kwiaty?—spytała.

— Naturalnie! mój kuzyn umyślnie dla Janiny jeździł po nie!

— Sądzę, że to nie bardzo bezpiecznie... woń kwiatów za silna.

— Niech zostaną...—prosiła Janina.

— Boję się, że pania głowa rozboli,—tłómaczyła zagna opiekunka.

— Jakby bolała, to powiem—niech się niemi nacieszę...

Zostały więc.

Kamilla opowiedziała Romanowi o radości Janiny, i nie mogła zrozumieć czemu się tak chmurzył.

On tymczasem, spędziwszy dzień cały i połowę nocy z Władysławem sam na sam, przyszedł do wniosku, że tak... Kamilla miała słusność. Ze słów urywanych, niedomawianych, z tłumionych westchnień i pełnych goryczy wyrazów, domyślił się, że Władysław kochał Janinę miło-

ścią wielką, namiętną... ale czy podzielaną? tego dowiedzieć się nie mógł, chyba od niej samej, a kiedy to nastąpi?...

I odroczyło się znowu. Kwiaty będące w zamkniętym pokoju, sprawiły, że gorączka zwiększyła się pod wieczór...

Kamilla płakała z gniewu, że piękny plan uczynienia przyjemności Janinie spełził na niczem... Roman milczał.

W parę dni potem czekał na doktora aby go wy badać.

— Hm, panie... tego,—mówił stary lekarz,—niebezpieczeństwa nie ma! stan nie jest groźny, natura silna, młoda, organizm zdrowy. Tylko stan nerwowy panie, stan nerwowy... silne rozdrażnienie a przytem nieco anemii i ztąd choroby.

— Ale zkąd się to wzięło? co za powód?—pytał Roman.

Stary rozśmiał się do brodu.

— A jakże my panie wiedzieć możemy zkąd się choroba bierze!

— Moja ciotka obawia się...—dodał Roman chcąc upozorować swoje zajęcie chorą.—Ale, wszak to nie zaraźliwe?

— Uspokoilem już panią hrabinę,—odrzekł lekarz.—To jest panie, choroba wieku, nerwy!

— I długo jeszcze taki stan trwać może?

— Hm, robi się panie co można. Może nie długo; byle apetyt był. Teraz, spokój, brom, potem żelazo i dużo ruchu na świeżem powietrzu, a głównie odżywianie... Ano, padam do nóg!

Pocziwy doktor nie podejrzewał, że moralne mogły być przyczyny tej choroby.

Niewiele więc dowiedział się Roman, a szczególnie tego co najbardziej chciał wiedzieć, to jest, kiedy ją będzie mógł widzieć. Och! bywały chwile, w których za krótką rozmowę z nią, byłby oddał połowę życia! Jakto? czyż na to zaświecił mu promyk szczęścia, aby wnet zniknął, pograżając go znowu na pastwę ciemności? Silna wola jego i hart duszy na ciężką był narazony próbie. Ale cierpiał i milczał, bo któż by się nawet był domyślił co się w sercu jego działo?

Męczyły go nad wyraz wizyty prawie codzienne Juliusza, który go obrał za swego powiernika, i roztkliwiał się ciągle jak dziecko, męczyła ciotka swoją bezwzględna obojętnością, i obcy ludzie nawiedzający często Żarnki, i dobra choć lekkomyślna Kamilla, a pomimo to nie uciekał do Wasilec, jak to mógł śmiało uczynić, wymawiając się tem, że musi przygotować dom na przyjęcie ojca i gości, którzy się obiecali. Nie, nie uciekał, bo tutaj oddychał tem samym co ona powietrzem, słyszał o niej ciągle, i mógł czasem, okrążywszy dom, zajrzeć w zasłonięte okna pierwszego piętra, gdzie ona mieszkała...

Jedno tylko co go ani nudziło ani męczyło, to rozmowa z Władysławem, z którym w coraz ściślejszych był stosunkach.

Młodzieniec podobał mu się od razu. Była chwila, opisana powyżej, gdy po rozmowie z Kamillą przymus sobie zadał, by powitać go tak jak zazwyczaj, ale ta chwila nie wpłynęła na dalszy ich przyjazny stosunek. Bo zresztą, czegoż się miał zrażać do niego, i czego mu zazdrościć? Los ich obecnie był równy, Janina tylko rozstrzygać miała, a kto wie? może ani jeden ani drugi nie zostanie szczęśliwym wybrańcem!

Maj się rozpoczął. Po kilku dniach śloty, które Roman spędził na samotnem rozmyślaniu w Wasilcach, drzewa i kwiaty rozwinęły się zupełnie. Bzy napełniały powietrze odurzającą wonią, zielono było i rozkosznie, gdy Roman dnia pewnego wrócił do Żarnek.

Na wstępie powitała go Kamilla radośną wiadomością, że Janina stanowczo ma się lepiej, że już doktor wstawać jej pozwolił.

Roman obie rączki kuzynki serdecznie ucałował, i był tak wesół dnia tego, że ją to aż zadziwiło.

— Będziesz się znowu śmiał ze mnie,—rzekła,—ale muszę ci powiedzieć, że znowu dajesz mi pole do obserwacji... Tak wesołym dawno już nie byłeś Romku.

Od jakiegoś czasu nazywała go pieszczotliwie po imieniu, a zarazem traciła ów poprzedni ton

kokieteryi z jakim się zwykle do niego odzywała. Stosunek ich zyskał na tem; Roman zastosował się do tego postępowania, i był teraz dla niej o wiele serdeczniejszym, traktując ją prawie jak rodzoną siostrę.

— Powtarzam ci Kamillo, że niebezpieczną jesteś!—odrzekł swobodnie. — Odgadujesz znakomicie, ale niekompletnie, bo nie zgadłaś powodu mojej wesołości, spróbuj!

— Nie odgaduję więc... ale konstatuje. Co do powodu... może mi sam wyjawisz; nie dorosłam jeszcze do zawilych zagadek.

— Ty to tylko w sprawach serca wyrocznia estes!—rzekł śmiejąc się,—a ja do tych rzeczy estem już za stary!...

— *Trop blasé*, powiedz! — przerwała. — Sam przecie mówiłeś, że nie masz ochoty narażać się po raz drugi na rozczarowanie, i że zamknęłaś to serce na zawsze—czy coś podobnego!...

— Dobrą masz pamięć Kamillo! wyrzekł patrząc na nią z uśmiechem.

— O wyborna! pamiętam również jak bardzo byłam wtedy zła na siebie...

— A dziś?

— Dziś... i ja także zmieniłam się trochę... *je ne demande plus l'impossible*... bo widzę, że im kto czego więcej pragnie tem mniej otrzymać może...

Mówiąc to, była nieco jakby zawstydzona...

— O! filozofujesz? zawołał zadziwiony. Któż cie tego nauczył?

Spoważniała nagle, i podnosząc zamyślony wzrok na Romana.

— Gdybyś wiedział, rzekła zamiast odpowiedzi, jakie my tam na górze poważne prowadziłyśmy rozmowy, to byś mnie nie poznał... A gdyby mama wiedziała! zaśmiała się szczerze i z wrodzoną sobie żywością wykręciła się na nodze. Gdyby mama wiedziała! powtórzyła z komicznym wyrazem.

— Cóż by mama zrobiła?—pytał Roman.

— Rozpędziła by nas na cztery wiatry... choć nas tylko trzy!

Kamilla śmiała się szczerze, serdecznie.

— Jakież to także poważne rozmowy?... o czym?—spytał Roman.

— Roztrzygamy kwestye żywotne!...—z komicznym namaszczeniem odrzekła Kamilla,—a ja się uczę, jaką być powinna kobieta, która pragnie być szanowaną!...

— No, no!—rzekł Roman, kiwając głowę—a to mądre rzeczy!

— Więc panna Janina jest już tak dobrze że może poruszać owe kwestye żywotne?—dodał zawsze jedną myślą zajęty.

— Janina co prawda, mało jeszcze w rozmowę się wdaje, ale co powie, to tak sprytnie, tak a propos, że aż się dziwię...

— Szkoda! sądziłem że te wasze „głośne marzenia“ pomogą ci do odkrycia prawdy co do owych przypuszczeń twoich... mówił Roman, a głos mu drżał mimowoli.

— Mówią—rzekła Kamilla z pod oka patrząc na kuzyna, mówią że my, kobiety, jako córki Ewy, grzeszymy zwykle ciekawością... a jednak zdaje mi się że mój szanowny kuzynek ciekawszym jest od niej jednej kobiety... Ale pragnę skrócić twoje męki. W moich przypuszczeniach nie posunęłam się ani na jeden krok naprzód, i przynnam ci się... wolę aby tak nie było!

— Dlaczego?

— Bo nie widzę w tem szczęścia Janiny...

Roman spojrział na nią bardzo życzliwie.

— A ty życzysz jej szczęścia?—zapytał miękko.

— Życzyłam zawsze, odrzekła, a teraz, kiedy ją lepiej poznałam, widzę, że ona go warta...

Roman ujął rękę kuzynki i patrzył w jej oczy z rzewnem uczuciem.

— Wiesz Kamillo że ty się także bardzo zmieniłaś... bardzo!—rzekł.

— Wiem!—odparła, nie spuszczać swoich oczu, prawie tryumfująca.

— Czy wiesz co na to wpłynęło?—pytał dalej.

— Wiem wybornie i powiem ci—tym samym tonem odrzekła. Serce moje spało... i myślałam tylko o sobie! Tyś rozpoczął dzieło mego nawrócenia, a Janinka dopomaga ci wiernie, choć nie wie że wspólnie z tobą działa... Wiesz Rom-

ku, że sam przykład tej istoty już lepszym czyni tego co na nią patrzy!...

Roman zakrył oczy dłonią i milczał długo. Jakże to nie ubóstwiać tej czarodziejki, która nad każdym taki wpływ zbawienny wywierać umiała!

— Ale teraz, kończyła Kamilla, teraz mam nadzieję że będzie ze mnie zadowolona! Marzeniem mojem jest, aby mnie kochała, i szanowała...

Roman odjął rękę od twarzy i ponownie ucałował rękę kuzynki.

— Możesz być pewną że się tak stanie!—rzekł wzruszony. Co do mnie... jestem dumny z mojej kuzynki.

— Bez przesady!... *sans y entendre malice!*—zaśmiała się znowu drażniąc go po dawnemu. Ale... słuchaj Romku!—dodała przeskakując znowu na inny przedmiot. Teraz można by Janinie znowu kwiaty ofiarować; już obecnie nie ma mowy o gorączce. Chodź! pomożesz mi narwać bzu!

(Dalszy ciąg nastąpi).

ODCZYTY.

Stanisław Belza „Nad Złotym Rogiem.“

Tegoroczną seryę odczytów na korzyść Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności rozpoczął znany podróżnik i autor wielu cennych dzieł podróżniczych, p. Stanisław Belza, o którego ciekawym odczycie, poświęconym Finlandyi, mieliśmy sposobność mówić na tem miejscu przed rokiem. Tym razem nie nad skaliste wybrzeże jezior finlandzkich poprowadził nas ze sobą prelegent, nie roztoczył przed nami pełnych melancholii obrazów „dalekiej północy“, ale wzrok nasz skierował ku Wschodowi tajemniczemu, ku modrym wodom Bosforu i uchylił, wobec niezwykłej licznej rzeszy słuchaczy, rąbek zasłony mistycznej, zakrywającej przed oczyma profanów stare mury, kręte uliczki i minarety strzeliste rozgłośnej stolicy padyszacha.

Konstantynopol, ta perła i forteca Wschodu, jak się poetycznie wyraził prelegent, wywiera na turyście, zbliżającym się od strony morza ku jego tajemniczemu progom, wrażenie miasta kontrastów. Widok, roztaczający się przed oczyma wędrowca z pokładu statku, przerywanego lazururowe fale Bosforu, jest wprost ośniewający. Wspaniałe meczety, bezgranicznie długie ulice, las minaretów wysmukłych, tonących w zieleni platanów, eukaliptusów i cyprysów, całe to półkole czarowne, na którym przed wiekami rozłożyło się dumne Bizancyum, wydaje się nie rzeczywistością, ale jakimś fantastycznym mirażem, albo snem cudnym piesniarza wschodniego. Po za tem w dali majaceją sine gór szczyty, nad tobą płonie złota tarcza słońca, a pod stopami twemi kołysze się majestatycznie wielkie, bezbrzeżne morze... Nie dziwnego, że widok taki mógł oczarować Chateaubrianda, Byrona lub Lamartin'a, a z ust entuzjasty włoskiego wyrwać okrzyk dziwny: „A teraz opisz, nędzniku!“ Nędznikiem być trzeba, według Amicis'a, aby się porywać na odtwarzanie niedoleżnem słowem tych cudów i tych piękności.

Dosyć jednak dotknąć stopą ziemi wyznawców Proroka, aby odrazu przysnął sen czarowny, by miraż fantastyczny we mgłę się rozplątał. Wyszędzszy na ląd, podróżny ze zdumieniem spotyka na każdym kroku dowody upadku, zgnilizny i nędzy. Rozkład organizmu, wyczerpanego oddawna wskutek nadużyć, bezczynności i lenistwa, występuje tutaj w całej pełni, więc, nie mogąc zapomnieć o tych czarownych obrazach, któremi przed chwilą pieściło się oko, mimowoli porównujemy siebie do owego chłopca z „Pana Tadeusza“, który, ujrawszy „cykoryi kwiaty, wabiące dłoń miękkiemi, lekkimi bławaty, chce je pieścić, zbliża się, dmuchnie,—i z podmu-

chem cały kwiat na powietrzu rozleci się puchem, a w rękę widzi tylko badacz zbyt ciekawy naga lodygę szaro-zielonawej trawy...“

Podjazd do Konstantynopola od strony morza, zdaniem niektórych turystów, przypominać podjazd do Wenecyi, ale p. Belza poglądu tego nie podziela. Wspaniałe świątynie i czarodziej-skie pałace Wenecyi nie ukazują się odrazu zdumionym oczom wędrowca, który powoli, stopniowo zapoznawac się musi z częściami składowemi panoramy. Konstantynopol, przeciwnie, ośniewa zdaleka całym blaskiem swojej piękności. Z pokładu statku podziwiać zdala możemy i wspaniałe pałac Dolma-Bakeze, i minarety sultana Achmeda, i wieżę Galaty, i pyszny meczet Sulejmana, i stary Seraj, pełen wspomnień o krwawej rzezi janczarów, i most sultanki Walidy, i wreszcie królującą nad miastem całem, chociaż zeszpeconą przez turków, Aja Sofię. Zbliżka dopiero pałace i meczety wspaniałe kryją się gdzieś i nikną, a oko żadnego wrażeń turysty zatrzymuje się wyłącznie prawie na domkach nędznych, pochyłonych, do klatek raczej, nie do mieszkań ludzkich podobnych, na uliczkach wązkich, brudnych i krzywych, na całej nędzy wielkiego miasta, oprawionej w dyamenty i rubiny.

Konstantynopol dzieli się na trzy główne części: stary turecki Stambuł i dwa przedmieścia, Perę i Galatę, które uchodzą pragną za dzielnice europejskie. Między Stambuł i Perę wrzyna się wązkim klinem, niby kanał olbrzymi, odnoga morska, zwana Złotym Rogiem. Jest ona prawdziwym dobrodziejstwem dla stolicy sultanów, ma dla niej znaczenie wielkiej rzeki, lecz tę nad rzeką przewagę, że umożliwia okrętom największym dostęp do środka miasta.

Pera i Galata, założone kiedyś przez genuen-czyków i franków, są oddawna siedliskiem chrześcian, którzy zresztą nie wywarli na te dzielnice wpływu dobroczynnego. Obydwa przedmieścia noszą wogóle charakter wschodni, mieszkańcy ich, na wzór tubylców, ubierają się w fezy czerwone, z obydwóch stron wązkich uliczek wznoszą się domy odrapane, przed niemi—sadzawki błota z gnijącymi odpadkami, porzuconemi nawet przez psy zgłodniałe. Kobieta nie spotyka się prawie; okryci lachmanami mężczyźni wyciągają ręce do karet przedpotopowych, prosząc natrętnie o jałmużnę lub *bakczysz*.

Odmianą nieco cechą odznacza się dopiero *Grande rue de Pera*, gdzie wprawdzie ciasnota panuje ogromna, ale przechodzi jakaś linia tramwajowa, wnoszą się gmachy ambasady, tu i owdzie spotkać się można z grupą kobiet, ubranych w stroje jaskrawe. Nie jest to już Wschód, ale jeszcze i nie Europa, parodia jej raczej, lub wielki szary obóz, bez charakteru i barwy, w którym się nie mieszka, lecz gości, w którym turek nie czuje się u siebie, ale i europejczyk bawi, jak na posie.

Meczetów nie widzimy na Perze, ale i kościoły chrześciańskie kryją się gdzieś po zaułkach, nie imponując stylem ani okazałością. Jedną z osobliwości przedmieścia stanowią klasztory derwiszów. Prelegent zwiedził z nich dwa i w barwnym opisie podzielił się ze słuchaczami wrażeniami niezwykłym, jakiego doznał wśród derwiszów tańczących i wyjących.

Kto jednak chce poznać Wschód ze wszystkimi jego osobliwościami, z różnobarwnym, ruchliwym tłumem ludzi, przedstawiających wszystkie niemal narodowości świata, ten przede-wszystkiem zwrócić się powinien na most sultanki Walidy, łączący przedmieście Pera ze starym Stambułem. Jest to najważniejsza arterya komunikacyjna między dwiema połowami miasta; przesuwa się przez nią codziennie około stu tysięcy osób. W imponującej tej liczbie lwia część stanowią naturalnie turcy, obok nich jednak widzimy greków, albańczyków, czerkiesów, armeńczyków, żydów, arabów, przedstawicieli wreszcie różnych narodów europejskich, dalej—Indyj, Afryki i Ameryki. Konstantynopol, według obliczeń przypuszczalnych, ma przeszło milion mieszkańców. Turcy stanowią w nim $\frac{2}{3}$ ludności, reszta przypada na ów różnobarwny tłum, na który patrzymy z mostu Walidy, podzi-

wiając zarazem niezwykłą zręczność urzędników tureckich, uwijających się wśród tego kalejdoskopu, mieszczącego w sobie wszystkie barwy tęczy, i ściągających piastry od pieszych i jeźdźców za prawo przejścia na drugą stronę Złotego Rogu.

I jeden tylko dysonans razi w tym tłumie barwnym oko przybysza z zachodu. Jest nim zupełny brak kobiety, która nie stanowi tutaj części składowej społeczeństwa, nie jest istotą równą we wszystkim mężczyźnie, ale raczej bawidełkiem chwilowym, zamykanem szczelnie w głębi niedostępnych haremów. Skutki tej dziwnej jednostronności przewiduje poeta, kiedy mówi, że „bez kobiety, dwa krańcowe okresy życia są pozbawione opieki, a okres trzeci—szczęścia...”

Dla całego świata wschodniego Konstantynopol ma nie tylko znaczenie, jako stolica państwa i główne centrum administracyjne, ale większe jeszcze, jako miasto miast mahometańskich, jako metropolia religijna i siedziba Kalifa, w której się mieści zarazem święty meczet z mieczem Mahometa i zieloną chorągwią Proroka. Każde wielkie miasto ma jakiś zabytek architektoniczny, skupiający na sobie uwagę powszechną i odbijający zarazem zasadnicze rysy miejscowości. Czem kościół Ś-go Piotra w Rzymie, Ś-go Pawła w Londynie, Nôtre-Dame w Paryżu, Ś-go Stefana w Wiedniu, a Ś-go Marka w Wenecyi, tem w Konstantynopolu jest niewątpliwie meczet Aja Sofia ze swoją słynną kopułą, o której mówi podanie, że z firmamentu niebieskiego wykrojona została. Gdy cesarz Justynian nakreślił budowniczemu plan tej przepięknej świątyni, zdumiony architekt, zawołał, że, aby pokryć tak wspaniałą budynek, trzeba niebu zabrać firmament. „To go zabierz!”—odparł imperator, i na rozkaz jego świątynia stanęła.

Dziś meczet Ś-tej Zofii zeszpecony został licznymi przystawkami, mieszczącymi w sobie szkoły, szpitale i zakłady dobroczynne; otaczają go i zasłaniają drzewa, a w czterech rogach wznoszą się, niby włócznie Mahometa, cztery minarety wyniosłe. I tylko kopuła, spoczywająca nad świątynią, jak baldachim, niepokalana w powiewności i wdzięku, pełna jakiejś lekkości naziemskiej, zachwyca bez zastrzeżeń i wyszlachetnioną myśl ludzką prowadzi gdzieś daleko, daleko... Wewnątrz dodatki nie szpecą tak pierwotnej budowy, która w zarysach ogólnych zachowała tutaj swój charakter dawny. Zauważyć należy, że Aja Sofia stała się prototypem wszystkich meczetów tureckich. Na wzór jej w samym Konstantynopolu zbudowano mnóstwo świątyń, z których niektóre, jak np. meczet Achmeta, odznaczają się wspaniałością i wdziękiem. Wogóle Stambuł posiada przeszło pięćset meczetów. Patrząc nań z mostu sułtanka Walidy, widzimy jeden wielki las minaretów, które miastu całemu nadają właściwy mu charakter i są jego ozdoba prawdziwą.

Niemniej od meczetów zaciekać mogą cudzoziemca liczne cmentarze tureckie, na których niema jednak tego odgradzenia życia od śmierci, jakie widzimy u nas. Życie i śmierć zlewają się tam w całość harmonijną; obok kamiennych turbanów, przykrywających mogiły, bawią się wesoło dzieci lub, paląc fajki, leżą, pograżeni w zadumie poważni wyznawcy Mahometa.

Błądząc wśród starych murów i cmentarzy, wędrowiec zatrzymuje się dłużej u smutnych mogił haremów, gdzie, mówiąc słowami poety, „z winnicy miłości niedojrzałe grona wzięto na stół Allaha,” gdzie „perełki wschodu, z morza ucieszy i szczęścia, porwała za młodu truna, koncha wieczności, do mrocznego łona...”

Znakiem zapytania, rzuconym tajemniczemu jutru, które wkrótce już może błysnąć na dla całego świata mahometańskiego, zakończył autor swój piękny odczyt, objaśniony długim szeregiem obrazów niktanych. Jak widzimy ze sprawozdania powyższego, które z konieczności nie może być dokładnem ani ściśłem, p. Belza, nie wdając się w szczegóły, nie zatrzymując nad zagadnieniami natury ekonomicznej, lub socyologicznej, usiłował nakreślić barwny, poetyczny obraz ogólny stolicy świata wschodnie-

go i zaznaczyć jej rysy główne, zasadnicze. Gorące oklaski, jakimi żegnano prelegenta, dowiodły wymownie, że zająć słuchaczy potrafił...

Wł. Bukowiński.

NA MORZU.

OBRAZY I NASTROJE.

(Dalszy ciąg).

Jak by się na tę sprawę zapatrywali nasi Anglicy—szachiści, nie wiedziałem, gdyż do tej pory nie wyszli z kajuty, gdzie widocznie rozpoczęli nową partyę... Co nie pozostawiało najmniejszych wątpliwości, że uznając słusność przestróg „naszego kochanego kapitana—*notre cher capitaine*—byłem osamotniony, gdyż wszyscy głosowali za wylądowaniem. Na argument, że w Gibraltarze niema nic do widzenia, odpowiedziano kapitanowi, że jednak nie szkodzi, będąc raz w Gibraltarze, zobaczyć, jak też ten Gibraltar wygląda, jak wygląda tutejsza osada angielska, jak wyglądają koszary, jak wygląda forteca z bliska etc. „Nie byłbym Anglikiem, zauważył ojciec moich panienek, żeby mię to nie interesowało.“ „Słuszną uwagę,“ odrzekł nam niby—Dumas, „co do mnie zaś, to nie byłbym Francuzem, żeby mię nie miało interesować, jak wygląda to złote jabłko Anglików, które by im Francya odebrała pierwsza, gdyby mogła. Stawiam kwestyę otwarcie i dlatego głosuję za wylądowaniem. A pani?“—zapytał, zwracając się do pani Stone, której asystował coraz wyraźniej. „Ja bym także była tego zdania, że warto wylądować, choćby dlatego tylko, że co robić do wieczora.“ „Co zaś do owej przewidywanej burzy, rzekł jeden z Francuzów, to nam się wydaje, że dlatego samego warto nie usłuchać rozsądnej rady naszego kochanego kapitana. Już z góry wyobrażam sobie, jaka to będzie przyjemność wracać po trochę wzburzonym morzu. Wszak podróżujemy, żeby zaznać wrażeń. My w każdym razie jedziemy, choćby sami, ale rozumie się samo przez się, że nam będzie przyjemniej, jeżeli i damy pójdą za naszym przykładem.“ Stanęło na tem, że jedziemy wszyscy, bo nawet i nasi anglicy-szachiści, którzy, jak się okazało, dopiero w tej chwili skończyli partyę i oświadczyli się za wylądowaniem. Reszta pasażerów, dotąd przechadzająca się po pokładzie, także zaczęła się grupować w pobliżu schodów, które zaczęto spuszczać właśnie, a był to znak, że wszyscy byli w opozycji przeciw kapitanowi, który jeszcze nie przestawał odradzać.

Tymczasem na wodzie ukazało się kilka łodzi, które dość szybko poczęły się zbliżać ku okrętowi. Po jakimś czasie zbliżyły się o tyle, że mogliśmy rozpoznać nie tylko przewodników, których było po pięciu na każdej łodzi—czterech wiosłarzy i jeden sternik; ale mogliśmy obserwować te wielkie szalupy, jak jednak, płynąc, kołysały się na fali. Dopiero teraz przekonaliśmy się, że morze, choć w porcie było spokojniejsze o wiele, niż za latarnią, jednak było niespokojniejsze, aniżeli nam się zdawało dotychczas.

Przypatrując się tym szalupom, które już zdążyły na jakie sto kroków zbliżyć się do naszego okrętu, przypomniałem sobie nasze przysłowie: *Skoro władz między wrony, musisz krakać jak i one*, a przypomniałem je sobie dlatego, że o ile się decydowałem jechać, o tyle czyniłem to jedynie dla towarzystwa. Jednocześnie przypomniał mi się ów cygan, co to „dla towarzystwa kazał się powiesić.“ Czemuż więc, pomyślałem sobie, nie miał bym dla towarzystwa narazić się na morską chorobę? Może to da powód do utworzenia nowego przysłowia: *Dla towarzystwa zgodził się literat na morską chorobę*. Przyznaję swoją drogą, że nie paliłem do tej jazdy: raz dlatego, że byłem przekonany argumentami kapitana, które jeszcze potwierdził nam dziobaty doktor,

a powtóre, że mi głowa zaczynała ciężać, co mogło być skutkiem upału, albo rodzajem prologu do morskiej choroby. Ostatni względ był głównym powodem, dla którego dałbym dużo za to, żeby nie potrzebować jechać. Ale nie wypadało odłączać się od całego towarzystwa, tembardziej, że do tego towarzystwa należała moja złotowłosa *miss*, zasługująca na to, ażeby dla niej poświęcić cokolwiek. Jakoż *volens volens* byłem zdecydowany, że pojedę.

W tem podchodzi do mnie kapitan, który mi od pierwszej chwili,—a zwłaszcza po dzisiejszej muzyce—dużo okazywał sympatii, i odzywa się w te słowa: „Niech oni jadą, ale pan zostań. Będzie pan żałował, zapewniam pana. Nic pan nie zobaczy, a za godzinę morze nie będzie podobne do tego, jakie jest w tej chwili. Patrz pan na te chmury. Zaraz zacznie padać. A może i im się odechce, jak pan oświadczyłeś stanowczo, że nie jedziesz.“ „Ależ, panie, odrzekłem, jeżeli pojedę, to dlatego tylko, że mi nie wypada zostawać, gdy *wszyscy* jadą.“—Na wyraz *wszyscy* położyłem szczególny nacisk, a wymawiając go, wzrokiem wskazałem na moje angielski, które w tej chwili przypatrywały się łodziom, jak przybijały do spuszczonego schodów. „Tem bym się nie kłepował, bo przekona się pan, że ten, kto zostanie na okręcie, będzie się śmiał z tych, co pojedą.“ Powyższy argument zachwiał mą wolą, tak, iż zacząłem się namyślać, czy nie lepiej bym zrobił, idąc za radą kapitana. Niech sobie jadą, jeśli chcą, ale dlaczego ja miałbym jechać, kiedy nie mam ochoty?... W tej chwili poczułem że mi na twarz spadła kropla deszczu. Ta kropla przechyliła szalę decyzji. Postanowiłem zostać. Trzeba być sobą.

Tymczasem ugodzono się z przewoźnikami, którzy byli Anglikami, a należeli do załogi fortecznej, poczem zaczęto schodzić do czołen. Pierwsieszli czterej Francuzi, a po chwili przysła kolej na rodzinę państwa Stone. Tu przysła mi genialna myśl. Ponieważ aż dotąd nie zdradziłem się z mem ostatecznym postanowieniem, więc zdecydowałem się wyzyskać ten względ, a to w następujący sposób. Udać, że jadę także, i niby czekać swojej kolei, a gdy ta kolej przyjdzie, cofnąć się, nic nie mówiąc nikomu. Dopiero na łodzi spostrzegą się, że mnie niema. Uważałem, że plan był doskonały, a że mię w ogóle szczęście nie opuszczało w tej podróży, więc udało mi się ten plan wykonać lepiej nawet, niż mogłem przypuszczać.

Stało się tak. Gdy odplynęła pierwsza łódź, uwożąc naszych Francuzów i jeszcze paru panów, poczęli schodzić ci, co mieli siaść do drugiej łodzi. Pierwsze poczęły schodzić moje panny. Ja niby miałem iść zaraz za niemi, ale ponieważ nie wypadało mi niby iść przed panią Stone, więc puściłem ją, jako damę, naprzód, co nie wywołało niczyjego zdziwienia. Po pani Stone poszedł jej mąż, za nim—nasz Dumas, a za nim miałem iść ja, jako najmłodszy. Nie poszedłem jednak, a natomiast zakreśliłem się tak, że mię uprzedzili dwaj Anglicy-szachiści, którzy dopełnili liczby pasażerów, mogących się zabrać jedną łodzią. Tym sposobem ja niby miałem jechać trzecią łodzią, ale nie pojechałem oczywiście, po chwili ujrzałem moje Angielki, odplywające na drugiej łodzi. Musiały się zdziwić, że mnie nie widziały obok, ale im nie wypadało okazać tego zdziwienia, co mnie w tym razie było bardzo na rękę. Nie przypuszczając, że mogę zostać, myślały pewno, że za niemi podążę w trzeciej szalupie, ale jeżeli tak myślały, to były w błędzie... Wkrótce odplynęła trzecia łódź, a ja wciąż stałem na pokładzie, między kapitanem i doktorem, i rozmawiając z nimi, wsparty o burt, poglądałem na drugą szalupę, która już zdążyła zmaleć w oczach, a na której dwie plamki, bielące się na samym przodzie, były jasnymi pelerynkami moich panienek.

Była chwila, że zacząłem żałować, że nie pojechałem z niemi, ale wystarczyło mi spojrzeć na ogromną chmurę, którą się powlekło niebo nad całą okolicą, i na morze, które stawało się coraz niespokojniejsze, ażeby niebawem pocieszyć się myślą, że *rira bien qui rira le dernier*. A przeczu-

wałem już, że tym, co się będzie śmiał ostatni, będę ja.

Tymczasem deszcz zaczął kropić coraz gęstszy, a wiatr przewiewał coraz silniej. Skończyło się na tem, że zeszedł do kajuty—na podwieczorek, do którego zasedliśmy we czterech tylko: kapitan, jego pomocnik, doktor i ja. Na zegarze, wiszącym nad pianinem, wybiła godzina czwarta. „Jak długo zabawimy w Gibraltarze?” zapytałem, zwracając się do kapitana. „Do dziesiątej,” odrzekł. I zaczęliśmy mówić o rodzinie państwa Stone, która w tej chwili już musiała wysiąść na brzeg. „Dobrze przynajmniej, że papa Stone ma parasol,” zauważył doktor. „No, bo że zmokną, to pewna,” zauważył kapitan. „Już mokną,” wtrąciłem. „I nie nie zobaczają,” zakonkludował za moimi plecami *maitre d'hotel*, który się przysłuchiwał naszej rozmowie. „Co pewna, to, że będą się kołysali, wracając,” rzekł kapitan.

Tymczasem i my już zaczęliśmy się kołysać, z lekka. Siedząc przy stole, mniej się odczuwało to lekkie gilotanie się okrętu, ale wystarczało spojrzeć na wiszące nad stołem, brązowe lampy olejne, które się poruszały raz w prawo raz w lewo, jak wahadło zegara, ażeby dostrzedz, że okręt nie stał spokojnie, ale się poddawał bałwanom. Kiedym na to zwrócił uwagę kapitana, poradził mi, ażebym o ile możności nie oddawał się obserwacji nad tem wahaniem się lamp nad stołami, gdyż jest to najłatwiejszy sposób, jeżeli się chce dostać morskiej choroby... Podziękowałem mu za tę życzliwą radę, a po skończonym podwieczorku, składającym się z mocnej herbaty ze śmietanką i biszkoptami, udałem się na pokład, co także uczynili moi towarzysze.

Dochodziła piąta, a w ciągu tej niecałej godziny, którą spędziłem w sali jadalnej, na dworze zmieniło się wiele. Niebo się zaciągnęło szaremi chmurami, które przeciągały bardzo nisko, a gnane silnym wiatrem, pędziły nadzwyczaj szybko, prusząc rzadkim deszczem. Mokry pokład świecił się, jak politurowany, a za to morze, nakrapiane drobnymi kropkami deszczu, straciło swój szklany połysk i stało się matowe, sine, a spore bałwany, które mi kłębiło się na całej przestrzeni, bieliły się spienionymi grzywami. W powietrzu rozlegał się jednostajny szum, który miał w sobie coś niepokojącego. Cały Gibraltar, ze swoją ostro-ściętą skałą, osłaniającą port i miasta, poszarzał, sępniał... Widząc, że deszcz nie grozi zbyt silnym przemoczeniem, udałem się na tył okrętu, ażeby lepiej przyjrzeć się mewom, których kilkadziesiąt, skomląc żałośnie, fruwało w pobliżu okrętu. Byłem zdumiony ich nadzwyczajną ilością, ale po chwili zrozumiałem, co je tak przyciągało w naszą stronę. Oto z okna kuchni okrętowej, co moment wyrzucano jakieś odpadki, a ile razy wyrzucono cośkolwiek, za każdym razem po kilkanaście mew rzucało się do wody... Był to ciekawy i nawet ładny widok, tak ładny nawet, że na chwilę zbiegł do sali jadalnej z prośbą do naszego gospodarza, ażeby mi dał kilka kawałków chleba—dla mew. Dopieroż była ucztą! Mewy zdawały się nie posiadać z radości, z takim piskiem rzucały się po każdy rzucony kawałek chleba. Nie przypuszczałem jednak, że rzucając ten chleb, mimowoli przyspieszę zgon niejednej ryby. Bo cóż się okazało? Oto, że po chwili wytworzyła się walka o „chleb powszedni” pomiędzy mewami, a rybami, walka, która o ile była zabawną z początku, o tyle wkrótce przeobraziła się w tragedję dla ryb. Z początku była zabawną, gdyż zdarzało się raz po raz, że nim mewa zdążyła pochwycić rzucony kawałek chleba, chleb raptem zniknął z powierzchni wody, sprzątnięty—z przed nosa mewie—przez ryby.

Śmiałem się z tych rybiech figlów, płatanych mewom, ale mewy pomściły się okrutnie. Raz i drugi dały się ubiedz, ale niebawem zorientowały się w sytuacji, i co która ryba niedość szybko umknęła z połkniętym kawałkiem chleba, odrazu mewa rzuciła się w wodę, dawała nurka, a po kilku sekundach wyrzucała się z wody—z trzepoczącą się rybą w dziobie. Raz zdarzyło się tak, że dość duża ryba, choć ją mewa trzymała za kark, mimo to nie chciała się rozstać ze sporym kawałkiem chleba, którego nie wypuszczała z pyszczka. Mały obrazek, ilustrujący walkę o byt!..

Bo w życiu nietylko, że wszystko jest walką o byt, ale i wszystko o niej świadczy, między innymi i Gibraltar, któremu teraz, dzięki uprzejmości kapitana, zacząłem się przypatrywać przez lunetę okrętową. Luneta była znakomita, to też, choć stałem na okręcie, o kilometr od brzegu, miałem złudzenie, że się przechadzam po wybrzeżu, po czystych ulicach osady, wśród żółtych domków z ogródkami na sposób angielski; że mijam oficerów i żołnierzy angielskich, których się tu uwija najwięcej; że widzę przechodniów pod parasolami, spieszących po mokrym trotuarze, i jakiś wózek, ciągniony przez hiszpańskie muły, i londyński *cab* w jednego konia, zajeżdżający przed jedną z willi; że się zatrzymuję przed sklepami, nad którymi czytałem angielskie napisy; że przystaję na stopniach anglikańskiego kościoła, którego drzwi były zamknięte. Wszystko to przesunęło mi się przed oczyma tak blisko, że zdawało się, że wyciągnąwszy rękę mógłbym się dotknąć każdej latarni, każdej furtki ogródka, każdego dzwonka przy drzwiach, każdego drzewa na bulwarze, ciągnącym się nad morzem dokoła portu, a który jest wysadzany drzewami i armatami. Widziałem równo poukładane stosy kul, leżących przy armatach, a kiedym wznosił lunetę do góry, kierując ją za skałą, której pionowa ściana wznosiła się w głębi na podobieństwo kurtyny teatralnej, widziałem mnóstwo dróg i ścieżek, powykuwanych w granicę, a nad temi drogami, w różnych miejscach, dostrzegałem powykuwane otwory, niby lufty, a w każdym takim ciemnym otworze, niby źrenica w oku, czernił się okrągły wylot armaty wielkiego kalibru. Przekonałem się, że cała skała, choć niemniejsza od Zakopiańskiego Gewonta, jest popstrzona takimi otworami. Przypatrując się im, nietylko uwierzyłem ostatecznie, że Gibraltar jest niezdobytą fortecą, ale mi się jeszcze przypomniało domostwo Maćka nad Maćkami z *Pana Tadeusza*, o którym powiada Mickiewicz, że

Kto by uważał zbliska lamus, śpichrz i chatę,
Ujrzy ściany od ziemi do szczytu pstrokate
Niby rojem owadów czarnych: w każdej plamie
Siedzi we środku kula, jak czmiel w ziemnej jamie.

Jest to świetne i nader plastyczne porównanie, które równie dobrze, jak do chaty Maćka nad Maćkami, da się zastosować i do skały Gibraltaru: z tą różnicą jedynie, że tutaj

w każdej plamie
Stoi we środku działo, jak czmiel w ziemnej jamie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z bieżącej chwili.

— Dnia 28-go lutego przybył do Warszawy Generał - Gubernator warszawski i dowodzący wojskami okręgu, Generał-Adjutant Jaśnie Oświecony Książę A. K. Imeretyński i zamieszkał w b. zamku królewskim. Nazajutrz 1-go b. m. o godz. 11-ej zrana nowemu Generał - Gubernatorowi przedstawiały się tutejsze władze duchowne i świeckie. Po przedstawieniu urzędników przez zwierzchników władz, Jaśnie Oświecony Książę przemówił do obecnych, że Najwyższe Reskrypty do Jego poprzednika, hr. Szuwałowa i do senatora Apuchtina wskazały drogę postępowania, której nowy naczelnik kraju trzymać się będzie, przestrzegając ścisłej legalności, w urzędniactwach zaś spodziewa się znaleźć gorliwych i światłych współpracowników.

— W przyszłym roku przypada, jak wiadomo, setna rocznica urodzin Adama Mickiewicza. Rocznicę tę pragnie Warszawa uczcić, i w tym celu podaje „*Kurier Warszawski*” projekt, który streścić się da w następujących trzech punktach: 1) Nazwanie jednej z ulic w dzielnicach świeżo powstających imieniem poety, 2) wmurowanie przy ulicy tej tablicy pamiątkowej, któraby chwilę tę upamiętniła i 3) postawienie pomnika w katedrze. „*Kurier Codzienny*” z swojej strony podaje projekt uczczenia tej chwili przez postawienie wieszczowi pomnika w mieście. Z uwagi na smutny stan sprawy pomnika Mickiewicza w Krakowie, projekt ten uważać należy w rzeczy samej za najodpowiedniejszy.

— Kolej warszawsko-wiedeńska wprowadza z dn. 13 b. m. ograniczenie co do użytkowania biletów abonamentowych w komunikacji podmiejskiej pomiędzy Warszawą i Skierniewicami. Od dnia tego bilet abonamentowy dawać będzie prawo przejazdu jednej tylko osobie.

— Z Krakowa dochodzą wiadomości, że dyrektor teatru tamtejszego p. Mieczysław Pawlikowski zamierza zrezygnować z dotychczasowego stanowiska. Przyczyną tego kroku są prócz niepowodzeń materyalnych także przykrości natury moralnej. P. Pawlikowski wniósł ze sobą oprócz głębokiego znawstwa i zamiłowania do teatru także znaczny kapitał, którym hojnie dla dobra sztuki szafował. Nie zdołało to jednak zapewnić mu trwałszego powodzenia w publiczności, zle o działalności dyrektora przez nieprzyjaciół jego informowanej. Dyrekcyę objął ma p. Zygmunt Przybylski wspólnie z dyrektorem starego teatru Gliksonem. Szkodaby było, gdyby teatr krakowski wejść miał na tory, niezupełnie stanowisku jego, jako przybytkowi narodowej sztuki odpowiadające.

— W Krakowie odbyło się w tych dniach uroczyste otwarcie pierwszej szkoły rzeźbiarstwa i przedmiotów pomocniczych dla kobiet. Założycielką i kierowniczką jest znana artystka-rzeźbiarka Tola Certowiczówna. Wykłady objęli profesorowie krakowskiej szkoły sztuk pięknych.

— Pani Krajewska, doktor medycyny, pełniąca od kilku lat obowiązki lekarza urzędowego w Dolnej Tużli w Bośni przybyła do Galicji celem wygłoszenia szeregu odczytów publicznych o kobietach bośniackich.

Do dzisiejszego numeru „*Bluszczu*” dołącza się: arkuś 5 powieści p. t. *Taqisara*, przez autorkę powieści Książę Saracinesco (F. Marion Crawford). Przekład z angielskiego.

Treść: Asnyk jako autor dramatyczny, przez P. Chmielowskiego (dalszy ciąg). — W kwestyi równouprawnienia kobiet, przez Elżę Orzeszkową (dokończenie). — Skarga, przez Selima. — Na łasce. Powieść, przez M. N. Sas-Junoszę (dalszy ciąg). — Odczyty, Stanisław Belza, „Nad Złotym Rogiem”, przez Wł. Bukowińskiego. — Na morzu, przez Ferdynanda Hösicka (dalszy ciąg). — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: *Taqisara*, powieść przez autorkę powieści Książę Saracinesco (F. Marion Crawford). Arkuś 5. Przekład z angielskiego. Przegląd mód. 57 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycje obiadu.